

Tukidydes, *Wojna peloponeska*, przekład i opracowanie Kazimierz Kumaniecki  
Warszawa 1988, Czytelnik, s.1, 15-16, 196-198

### Księga pierwsza

Tukidydes z Aten opisał wojnę, którą prowadzili między sobą Peloponezyjczycy i Ateńczycy. Zabrał się do dzieła, zaraz z początkiem wojny, spodziewając się, że będzie ona wielka i ze wszystkich dotychczasowych wojen najbardziej godna pamięci. Wniosek swój zaś opierał na tym, że obie strony ruszały na nią znajdując się u szczytu swej potęgi wojennej, a reszta Hellady bądź od razu, bądź z pewnym wahaniem przyłączała się do jednej lub drugiej strony. Był to bowiem największy ruch, jaki wstrząsnął Hellenami i pewną częścią ludów barbarzyńskich, a można powiedzieć nawet, że i przeważającą częścią ludzkości. Dokładne zbadanie wypadków poprzedzających te wojnę i jeszcze dawniejszych nie było możliwe ze względu na zbyt długi okres czasu, jaki od nich upłynął; jednakże cofając się w najodleglejszą przeszłość, na podstawie świadectw, które rozpatruje i którym muszę wierzyć, sądzę, że nie było wówczas ani wielkich wojen, ani innych wielkich wydarzeń.

(...)

Albowiem wzrastające dzięki urodzajnej ziemi bogactwo poszczególnych jednostek wywoływało walki wewnętrzne, które z kolei rujnowały mieszkańców kraju, jednocześnie zaś obce plemiona bardziej zagrażały takiemu krajowi. Dlatego też w Attyce, gdzie od najdawniejszych czasów z powodu nieurodzajnej gleby nie było walk wewnętrznych, stale mieszkała ta sama ludność. Nie najslabszym dowodem mojego rozumowania, że właśnie wskutek zmian ludnościowych pozostała część Hellady nie doszła do takiego wzrostu jak Attyka, jest fakt, że przecież ci, którzy musieli uciekać z innych krajów greckich z powodu wojny albo sporów wewnętrznych – i to najzamożniejsi – przybywali właśnie do Aten, jako do kraju spokojnego; oni to, przyjmując obywatelstwo ateńskie, już w najdawniejszych czasach przyczyniali się do wzrostu liczby mieszkańców tak dalece, że później, wobec przeludnienia Attyki, wysyłano osadników nawet do Jonii. (...)

Taki oto obraz starożytności starałem się ustalić na podstawie przeprowadzonych poszukiwań; zresztą trudno jest dawać wiarę każdemu

dowolnemu świadectwu. Tradycje ustną o dawnych wypadkach przyjmują ludzie bezkrytycznie, nawet jeśli odnosi się do ich własnego kraju. I tak mnóstwo Ateńczyków myśli, że Hipparch zginął z ręki Harmodiosa i Arystogejtona już jako tyran; nie wiedzą, że rządy sprawował wówczas Hippias jako najstarszy syn Pizystrata, a Hipparch i Tesselos byli jego braćmi. Harmodios i Arystogejton w owym dniu, gdy mieli wykonać zamach, powzięli podejrzenie, że ktoś z wtajemniczonych uprzedził Hippiasa, i wstrzymali się od zamachu na niego. Chcąc zaś, zanim go schwytają, dokonać jeszcze jakiegoś ryzykownego czynu, zabili Hipparcha napotkawszy go w chwili, gdy przygotowywał procesję panatenajską koło świątyni zwanej Leokorion. Także o wielu innych sprawach, i to współczesnych, a nie dawnych i zatartych w pamięci, mają Hellenowie fałszywe wyobrażenie; i tak na przykład myślą, że królowie lacedemońscy oddają przy głosowaniu po dwa głosy, a nie jeden, albo że Lacedemończycy mają tzw. oddział pitański, który nigdy w ogóle nie istniał. Tak to większość niewiele troszczy się o znalezienie prawdy i raczej skłonna jest przyjmować gotowe opinie.

Jednakże nie zbłądziłby ten, kto by na podstawie wyżej przytoczonych dowodów nabrał przekonania, że właśnie tak było, jak to przedstawiłem, i nie powinien ufać poetom, którzy upiększali i wyolbrzymiali przeszłość, ani też logografom, którzy przedstawiali wypadki w sposób raczej interesujący niż prawdziwy. Są to bowiem rzeczy nie dające się udowodnić i takie, z których wiele zostało z czasem przeniesionych między baśnie. Słuszne byłoby tedy mniemanie, że osiągnąłem, opierając się na oczywistych dowodach, rezultaty wystarczające, jeśli się zważy, że idzie o tak zamierzchłą przeszłość. Chociaż ludzie zawsze tę wojnę, w której biorą udział, uważają za największą, a po jej zakończeniu raczej podziwiają dawniejsze, to wystarczy jednak spojrzeć na fakty, żeby się przekonać, że obecna wojna była mimo wszystko większa od innych.

Wierne odtworzenie przemówień, wygłoszonych przez poszczególnych mówców bądź przed wojną, bądź w czasie jej trwania, było rzeczą trudną zarówno dla mnie, który ich sam słuchałem, jak i dla tych, którzy mi je przekazywali; toteż ułożyłem je tak, jak by – według mnie – najodpowiedniej do okoliczności mógł przemówić dany mówca, trzymałem się jednak jak najbliżej zasadniczej myśli mów rzeczywiście wypowiedzianych. Jeśli zaś idzie o

wypadki wojenne, nie uważałem za słuszne spisywać tego, czego się dowiedziałem od pierwszego lepszego świadka, lub tego, co mi się zdawało, ale tylko to, czego sam byłem świadkiem, albo to, co słysząc od innych, z największą możliwie ścisłością i w każdym szczególe zbadalem; trudno zaś było dojść prawdy, ponieważ nie zawsze świadkowie byli zgodni w przedstawianiu tych samych wypadków, lecz podawali je zależnie od sympatii dla jednej lub drugiej strony walczącej i zależnie od swej pamięci. Jeśli chodzi o słuchaczy, to dzieło moje, pozbawione baśni, wyda im się może mniej interesujące, lecz wystarczy mi, jeśli uznają je za pożyteczne ci, którzy będą chcieli poznać dokładnie przeszłość i wyrobić sobie sąd o takich samych lub podobnych wydarzeniach, jakie zgodnie ze zwykłą kolejną spraw ludzkich mogą zajść w przyszłości. Dzieło moje jest bowiem dorobkiem o nieprzemijającej wartości, a nie utworem dla chwilowego popisu.

(...)

Do takiego okrucieństwa doprowadziły walki partii; wydawały się one jeszcze okrutniejsze dlatego, że był to pierwszy tego rodzaju wypadek. Później bowiem, jeśli tak można powiedzieć, poruszona została cała Hellada, gdyż w każdym państwie były dwie partie i przywódcy ludu wzywali na pomoc Ateńczyków, a oligarchowie Lacedemończyków. W czasach pokojowych nie byłoby pretekstu ani ochoty do sprowadzania pomocy. Skoro jednak wojna wybuchła, ci, którzy w różnych miastach dążyli do przewrotu, łatwo mogli sprowadzić obcą pomoc w celu pogwałcenia przeciwników politycznych i wzmocnienia swego własnego stanowiska. Wiele też dotkliwych klęsk spadło na różne państwa z powodu walk partyjnych, które zdarzają się i zawsze zdarzać się będą, jak długo natura ludzka pozostanie niezmienna, choć może w mniejszym nasileniu i w innych formach, stosownie do zmieniających się okoliczności. W czasach pokojowych i w dobrobycie zarówno państwa, jak i jednostki kierują się słuszniejszymi zasadami, gdyż nie znajdują się pod jarzmem konieczności; wojna zaś, niszcząc normalne, codzienne życie, jest brutalnym nauczycielem, kształtującym namiętności tłumy według chwilowej sytuacji. Walki partyjne wstrząsnęły państwem, a te, które wybuchły później, brały sobie za wzór poprzednie i w niezwykłości pomysłów szły jeszcze o wiele dalej, zarówno jeśli chodzi o przemyślność i podstęp w urządzaniu zamachów, jak i o wyrafinowaną zemstę. Wtedy również zmieniano dowolnie znaczenie

wielu wyrazów. Nierozumna zuchwałość uznana została za pełną poświęcenia dla przyjaciół odwagę, przezorna wstrzeźliwość – za szukającego pięknego pozoru tchórzostwo, umiar – za ukrytą bojaźliwość, a kto z zasady radził się rozumu, uchodził za człowieka wygodnego i leniwego; bezmyślną zuchwałość uważano za cechę prawdziwego mężczyzny, a jeśli ktoś się nad czymś spokojnie zastanawiał, sądzono, że szuka dogodnego pretekstu, aby się wycofać. Ten, kto się oburzał i gniewał, zawsze znajdował posłuch, ten, kto mu się sprzeciwiał – był podejrzany. Jeśli komuś udało się drugiego wciągnąć w pułapkę, chwalono go jako mądrego, ale za jeszcze mądrzejszego uchodził ten, komu udało się tej pułapki uniknąć; jeśli zaś ktoś tak się urządził, że nie musiał na nikogo zastawiać sidła, ani ich unikać, uchodził za zdrajcę swych towarzyszy partyjnych i człowieka bojącego się partii przeciwnej. Jednym słowem, sławy zażywał ten, kto potrafił ubiec człowieka, który mu chciał krzywdę wyrządzić, i kto drugiego zdołał do złego namówić. Związki krwi stały się słabsze od związków partyjnych, gdyż przyjaciel partyjny chętniej ważył się na rzeczy śmiałe i bezwzględne. (...) Wszelkie układy zawarte w przymusowej sytuacji i zaprzysiężone miały wartość tylko do chwili, gdy jedna ze stron nie poczuła się silniejsza; przy pierwszej zaś sposobności ten, kto zyskał na sile, widząc przeciwnika bezbronnego, nie dotrzymywał układu. Zamiast bowiem otwarcie wrogo występować, chętniej łamano układy, nie tylko dlatego, że nie narażało to na duże niebezpieczeństwa, ale że jeszcze w nagrodę za podstęp przynosiło sławę przebiegłości. Większość bowiem ludzi woli uchodzić za przebiegłych nicponiów niż dobrodusznych pocziwców: pierwszym się chełpią, drugiego się wstydzą. Źródłem tego wszystkiego była żądza panowania, dążąca do zdobycia bogactw i zaspokojenia ambicji, a stąd wybuchały rywalizacje, wkraczały w grę namiętności. Przywódcy polityczni jednej i drugiej partii posługiwali się pięknymi hasłami, mówili o równouprawnieniu wszystkich obywateli albo o rządach rozumnie arystokracji, ale w rzeczywistości, mówiąc o sprawie ogólnej, walczyli między sobą o swe prywatne interesy. Używając wszelkich metod w walce o pierwszeństwo, odważali się nawet na największe okropności, a w zemście nie oglądali się ani na prawo, ani na interes publiczny, lecz kierowali się wyłącznie samowolą. (...)

Tak więc walki partyjne stały się źródłem wszelkiego rodzaju zbrodni w Grecji; dobroduszność, która przede wszystkim opiera się na szlachetności,

wydana na pośmiewisko, w ogóle zaniknęła, natomiast wszędzie spotkać można było wrogą i nieufną postawę; (...).

Na Korkirze po raz pierwszy popełniono wiele z tych strasznych czynów. Straszne były zarówno akty zemsty dokonane przez lud mszczący się na tych, którzy w czasie swych rządów okazali więcej buty niż rozsądnego umiaru, jak i bezprawia dokonane dla uwolnienia się od nędzy, a przede wszystkim z chęci obrabowania współobywateli; okrutnych i bezlitosnych czynów dopuścili się także i ci, co nie działali z chęci zysku, lecz pod wpływem bezkarności i roznamiętnienia występowali w imię równości. Kiedy przy ogólnym zamieszaniu w mieście zwycięstwo nad prawami odniosła natura ludzka, mająca zawsze pociąg do ich zgwałcenia, okazało się, że chętnie puszcza cugle namiętności, że góruje nad sprawiedliwością i nie chce mieć nikogo nad sobą. (...)

I te wypadki opisał ten sam Tukidydes z Aten, szeregując je chronologicznie według pór letnich i zimowych, aż do chwili kiedy Lacedemończycy i ich sprzymierzeńcy obalili imperium ateńskie i zdobyli długie mury i Pireus. Cała wojna aż do tej chwili trwała dwadzieścia siedem lat. Nie będzie bowiem miał racji ten, kto wyłączy z obliczenia okres rozejmu. Niechaj bowiem rozważy następstwo wypadków, a dojdzie do przekonania, że nie można pokojem nazwać takiego okresu, w którym obie strony nie oddały ani nie przejęły wszystkich terytoriów, do czego się zobowiązały w układzie, a prócz tego podczas wojny mantynejskiej i epidauryjskiej i kiedy indziej działały przeciw sobie; ponadto sprzymierzeńcy na wybrzeżu trackim nadal pozostali nieprzyjaciółmi, a Beoci mieli jedynie rozejm odnawiany co dziesięć dni. Jeśli zaś doda się do pierwszej dziesięcioletniej wojny następujący po niej okres wątpliwego pokoju i dalsze lata wojny i zliczy się według poszczególnych okresów, to okaże się że wojna trwała dwadzieścia siedem lat i kilka dni i że spośród wszystkich przepowiedni ta jedna sprawdziła się w pełni. Przypominam sobie bowiem, że stale, na początku wojny, jak i w czasie jej trwania, powszechnie opowiadano, że wojna ta ma trwać trzy razy po dziewięć lat. Co do mnie, przeżyłem całą tę wojnę w pełni sił, śledząc z uwagą wypadki, ażeby dokładnie znać każdy szczegół. Tak się złożyło, że po mej strategii pod Amfipolis musiałem dwadzieścia lat spędzić z dala od ojczyzny. Miałem wtedy sposobność dokładniej śledzić wypadki zarówno po jednej, jak i po drugiej stronie, a na skutek wygnania szczególnie po stronie peloponeskiej.

(...)

Najdawniejszymi mieszkańcami pewnej jej [Sycylii – przyp. KS] części mieli być Cyklopi i Lajstrygonowie, o których nic powiedzieć nie mogę; ani o ich pochodzeniu, ani skąd przybyli, ani dokąd poszli. Niech więc wystarczy to, co mówią poeci, i to, co każdy o nich sądzi. (...)